



boczny tor 106

kolejny notoryczny / 1.03.2011

Wczoraj wieczorem w hotelu – jakże wymarzonem z uwagi na przysznac i wygodne łóżko – przez kilka godzin rozkoszowaliśmy się wszelkimi przywilejami technologicznymi, gastronomicznymi i higienicznymi, jakie niesie ze sobą nowoczesne wyposażenie wnętrza. Telewizor w nogach łóżka ukazał naszym oczom sceny z wojny o Malwinę, likwidując odległość z opryskliwą naturalnością typową dla urządzeń elektronicznych. Guziki, klucze, krany, każde z urządzeń składało się na naszą wygodę, podczas gdy materace i poduszki zapowiadały słodką trylogię miłości, wypoczynku i snu. Tak bywa zawsze, kiedy już zaczyna być przyjemnie i bezpiecznie i kiedy znika gdzieś owo poczucie tymczasowości, zawsze jednak wyczuwalne na ulicy, w aucie, na otwartej i zatłoczonej przestrzeni. Być może dlatego – i powinniśmy wziąć to pod uwagę – atak Szatana jest straszliwszy, kiedy ma miejsce w środku zabawy, kiedy zło wybiera terytorium dobra, aby się tam wślizgnąć i zadać cios.

Nie czekaliśmy długo, atak nastąpił, kiedy zapragnęliśmy uczcić nasz pierwszy hotel na autostradzie i sięgnęliśmy do minibarku w sypialni po dwie rytualne buteleczki whisky i kostki lodu. Napeliłem szklanke dla Carol, przygotowałem moją i usiedliśmy, żeby się napić i zapalić po gorącej kąpiel, która tak bardzo była nam potrzebna. Kiedy napilem się mojej whisky, natychmiast zrozumiałem, że dałem się nabrać na starą, oklepaną sztuczkę. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że moja buteleczka otworzyła się bez wysiłku, podczas gdy butelka Carol stawiała opór właściwy dla dobrego zamknięcia. Mój napój miał kolor whisky, ale siki też mogą mieć taki kolor.

Poszedłem do łazienki, przepłukałem usta i otworzyłem butelkę martini, która – teraz sprawdziłem to dokładnie – była doskonale zamknięta. Carol wielkodusznie próbowała zminimalizować ten, sam w sobie może niewielki, niemniej jednak odrażający horror. To na pewno nie były siki, tylko jakiś szampon, jakikolwiek żółtawy płyn, który mógł udawać kolor whisky. Mało mnie to już obchodziło, chociaż byłem pewien, chociaż widziałem, jak oto powtarza się coś, o czym Argentyńcy mówią: „wyciąć numer”, „okantować”, „wykiwać”, „wcisnąć kit”, a Meksykanie, Duńczy albo Włosi nie wiadomo jak, ale zawsze tak samo, nasikać do butelki po piwie albo whisky, zamknąć, jakby była nienaruszona i mieć podwójną radochę: nie zapłacić, a do tego jeszcze wyobrazić sobie wyraz twarzy albo wymioty ofiary, niewidzialnej, ale pewnej, przykutej do niedalekiej przyszłości, nieuchronnie skazanej na to, że wpadnie w tę inteligentną zasadzkę.

Nie jestem zły, tak przypuszczam, ale nigdy nie odmawiam sobie sprawiedliwej zemsty, chociażby tylko wymagowanej. Myślę, że można zaplanować i ukierunkować życzenie i że prędzej czy później ono się spełni, tak jak to mówi Keats w jednym ze swych listów, że zawsze dobrze jest wypowiadać proroctwa, a już one same znajdują sposób, żeby się urzeczywistnić. Zapragnąłem – i wyobraziłem to sobie w najdrobniejszych szczegółach – żeby autor tego żartu roztrzaskał się w dowolnym miejscu autostrady, żeby jego samochód wyglądał jak bandoneon Juana José Mosalini, kiedy ten wygina go w łuk wraz z ostatnim akordem tanga rodem prosto z ulic Buenos Aires, i żeby kierowca nie odniósł żadnych większych obrażeń. Tak, zadnej poważniejszej rany, tylko żeby później lekarze postawili mu diagnozę: nieodwracalny skapomocz albo, co na to samo wychodzi, przesywające bólem zapalenie pęcherza moczowego, co oznacza, że będzie mógł sikać wyłącznie po kropelce, kropla po kropli prosto do maleńkich próbek, potrzebnych lekarzom do codziennych analiz tego z trudem i mozołem oddawanego moczu, aby mogli stwierdzić, że w żadnym wypadku nie jest to Johnnie Walker z czerwoną naklejką.



Wyobraźcie sobie podróż z biegiem rzeki. Przewoźnik, od źródła aż do ujścia, daje się unosić nurtowi wód. Czy to początek podróży? A może koniec? Przewoźnik stwierdza, że tak jest i tak to widzi: i naprawdę jest takie oblicze podróży, w którym jej początek i koniec współistnieją, w którym istnieje i relacja z podróży, i jej przebieg. Jest takie oblicze podróży, w którym przeszłość i przyszłość są tak samo realne; jest i inne, nie mniej realne, a za to bardziej ulotne, w którym podróż, łódka, przewoźnik, rzeka i jej rozciągłość mieszają się. Jeden ruch wiosła pruje fale rzeki na całej długości, a przewoźnik, na zawsze i od zawsze, rozpoczyna, odbywa i kończy podróż tak, że jej początek u źródła rzeki nie poprzedza jej zakończenia u ujścia.

OSMAN LINS, Avalovara





Anna Güntner, „Niesmiały narzeczony” / Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie

Idę na księdza

O. Waclaw Oszejca SJ / 22.02.2011

Dotarło do mnie, że nie będzie żony, nie będzie dzieci, nie będę dla nikogo jedynym, i nie warto pytać, co zamiast. Tego braku nikt i nic mi nie zastąpi: ani praca, ani ludzie, ani Matka Boża, ani Pan Bóg. Zawsze będzie puste miejsce i głód. I tak być powinno.

**TYGODNIK
POWSZECHNY
onet.pl**



**SZCZĘŚCIE TO STAN.
SZCZĘŚCIE TO POSTAWA.**

